

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Zostać na schodach

Cisza po trzecim gongu nie zawsze jest przebudzeniem baśni. Pierwszy gong nie rusza cię nigdy. To jasne. Stoisz pięknie, celnie, jak głaz towarzyskiego obycia. Ni drgniesz przy pierwszym, bo tylko amator drży przy pierwszym. Ty? Wykluczone! Jesteś ponad. Ty przy pierwszym kwitniesz. Brylujesz w foyer. Tak.

Pak teatralnego samarytanizmu – pochylasz się nad programem premiery. Zawsze i wszędzie tak jak w piątek w teatrze Groteska. Litościwym okiem suniesz po literach, cmokasz, wzdychasz, sadło wyrozumiałości z nogi na nogę przekładasz, oko w płaskie niebo wysokiego sufitu wznosisz, wzdychasz: No tak... Skwierczy wysublimowanie. Twoi druhowie bywalcy w lot łapią szyfr dyszeń twoich. Przytakują, podziwiają, są z tobą. Ergo – kolejny raz w życiu twoim jest szalenie wieczorowo. Jeszcze nie wiesz, że dziś w teatrze nie przebudzi się baśń.

Nie wiesz i pewnie dlatego czujesz, jak się w tobie rytualnie ucieleśnia stare Cortazara zdanie o naturze teatryków czekania na premierę. Czujesz, jak spokojnie (który to już raz w twym życiu bywalca?) – zostawiasz druhom swym twarz swoją, a sam w głębi dumasz, czy do baru ruszyć po bombkę koniaku, czy też może już lepiej nie po jedną... I wtedy zawsze jęczy gong drugi. I opuszczają cię wahania. I suniesz ku la-dzie. Tuptasz wytwornie w rytmie mądrości ojca twego: „synu, pamiętaj, lepiej dźwigać niż ścigać...” I wracasz. I przynosisz bombki od razu trzy. I gdy wybija trzeci gong, nie masz już bombek. I idziesz na widownię. I jesteś bardzo po stronie ba-śni. I siadasz. I mrą światła tego świata. I budzą się światła świata tamtego... I co?

Przyznam, chętnie zostałbym tu, gdzie jestem – w opowieści o czekaniu na ciemność po trzecim gongu. Wolałbym piórem dotykać schodów w gmachu teatru Groteska, wolałbym pociągnąć tę „rozgrzewkę”, co ja od pierwszej frazy za uszy ciągnę i ciągnę, by nie musieć wstępować na widownię i drugi raz stawać oko w oko z dziełem Lecha Chojnackiego „Być jak Pippi”. Wolałbym dalej notować pamięć o zapachach, barwach, brzmieniach ludzi, co na korytarzach, w barze i przy popielniczkach obok szatni czekali na baśń, niż notować ból braku baśni.

Nie przyszła. Nic tragicznego, w teatrach przecież tak bywa, że nie przyłazi tajemnica żadna i zostaje tylko chłodna retoryczność opowieści ledwie dukanej. I też, broń Boże, problem nie w tym, że premiera w Grotesce to wyjątkowo smutny pokaz jakiegoś gruntownego nieporozumienia. Nie. Problem za to ten, co zawsze. Otóż, jak się lata temu zaczęło opowiadać nam cuda intonacjami wybornymi – intonacja papierowa, płaska, rzekłbym „matematyczna”, zwyczajnie uwiera. Wtedy już chyba lepiej wrócić na schody, do foyer.

Każdy zna dobre szaleństwa Pippi Langstrump. Każdy kiedyś dygotał przy czytaniu prozy Astrid Lindgren. Każdy chciał być tak barwny jak ta ruda, piegowata, papuzimi fatałaszkami odziana córka kapitana, co z pozornie szarych klocków zwyczajnych dni umiała kleić światy zawrotne. Każdy, jak ona, pragnął z pomocą snów na jawie otulać szarość rzeczywistości blaskiem miękkich rojeń. Ale też każdy – gdy ten jego prywatny, księgami Lindgren inspirowany teatryk pod powiekami nie chciał działać – zwyczajnie zasypiał. Nikt z nas w dzieciństwie nie wchodził w baśń nieudaną. Co zatem było robić w piątek w Grotesce?

Chojnacki starał się bardzo. Na kanwie oryginału sklecił opowieść o pokoju, w którym naraz ucieleśniają się półsenne marzenia dzieci. Gdzieś znika nudny świat dorosłych – można więc dać folę swym nieletnim fanaberiom. Są więc chłopczyk i dziewczynka, jest jakaś podróż nocna bez ruszania się z miejsca. Jakaś żegluga, jakiś rekin, bodaj zielony, muzyczka różnych stron świata, wielobarwne światła, co nastrojem sterowały, dziesiątki innych różności, na czele z ulubionym moim dalmatyńczykiem na biegunach.

Biało-ciemne toto i kopytne, ale nie zebra, bo w łaty. Ogon brązowy, grzywa i wieczny uśmiech od ucha do ucha. Oczy czarne, dumne. Dziurki nosa dobitnie świadczyły o dzielności. Dobrze, jeśli nawet nie był to dalmatyńczyk czysty, to niechaybnie musiała to być bujana zebra dalmatyńska... Czemu tak detalicznie ją zapamiętałem? Żeby zapytać teraz: co ci przyszło z tej piękności, zebro?

Zapamiętałem tę bujaną maskotkę, by wszystkie inne piękności przedstawienia Chojnackiego – wielkie maski dzieci, kojącą harmonię barw, ciepło migotliwych reflektorów, miłe nuty Roberta Kanaana, tańce przez Małgorzatę Brożonowicz wymyślone – o to samo zapytać. Co komu po waszej urodzie, skoro na urodzie waszej żadna baśń nie urosła?

Barwy dla barw, kształty dla kształtów, ruch dla ruchu, aktor dla aktora. Wiele hałasu – po nic. Historia ociężała. Miła dla oka opowieść kuśtykająca w piętke. Nawet cienia lekkości teatralnego znaku. Przygoda każda – wywalona na dechy sceny, wywalona i od razu buksująca. Doskonały brak nieuchwytności.

W programie, w dymku doczepionym do rysunku buzi dziewczynki, czytam: „Nigdy nie będziemy duzi. Dorośli mają tylko swoje nudne obowiązki, odciski i podatki”. Biedne dziecko. Nie wie, że nie jest tak źle. Jeszcze nie wie, że my też mamy sny. Sny na schodach. Sny, które pomagają, gdy po trzecim gongu nie budzi się baśń.

PAWEŁ GŁOWACKI

Teatr Groteska. Lech Chojnacki „Być jak Pippi”. Reżyseria Lech Chojnacki. Scenografia Dariusz Panas. Muzyka Robert Kanaan. Choreografia Marzena Biesiadecka.